

Przegląd Końca Świata



Tłumaczenie:
Agnieszka Brodzik

FEED

MIRA GRANT

Kraków 2012

KSIEGA I

Powstanie

Prawdy nie da się zabić.

Georgia Mason

*Wszystko da się zabić.
Czasami tylko musisz w to strzelać tak długo,
aż przestanie się ruszać.
I nie wypada zbyttnio rozmyślać o tym,
co się zrobiło.*

Shaun Mason

Każdy zna kogoś, kto jest na Ścianie.

Nie ma znaczenia, jak mało twoim zdaniem masz wspólnego z wydarzeniami z brutalnego lata 2014 roku, które zmieniły świat – i tak znasz kogoś ze Ściany. Może to twój kuzyn, może stary przyjaciel rodziny albo po prostu ktoś, kogo raz widziałeś w telewizji – ale traktujesz go jak swego. Jest twój. Umarł, żebyś ty mógł siedzieć bezpiecznie w swoim malutkim domku, schowany za swoimi ciutkami ściankami, spoglądając, jak słowa dwudziestoletniej dziennikarki przesuwają się po monitorze twojego komputera. Pomyśl o tym przez chwilę. Oni umarli za ciebie.

A teraz przypatrz się dobrze swojemu życiu i powiedz mi – dobrze zrobili?

– z *Drastycznych zdjęć*,
bloga Georgii Mason, 16 maja 2039

JEDEN

Nasza historia zaczyna się tam, gdzie w ciągu ostatnich dwudziestu sześciu lat niezliczona liczba innych się skończyła: w chwili, gdy pewien idiota – w naszym przypadku mój brat Shaun – stwierdził, że świetnie byłoby wziąć kij i podrażnić się trochę z zombie, a potem zobaczyć, co się wydarzy. Jakby do tej pory się nie nauczył, jakie konsekwencje niesie ze sobą zadzieranie z nimi: zombie może się odwrócić i cię ugryźć, a wtedy to ciebie tykają patykami. Żadna nowość. Już od ponad dwudziestu lat nikogo to nie zaskakuje, a jeśli już chcemy być tak dokładni, w *naszej* historii też nie było to niespodzianką.

Kiedy po raz pierwszy pojawili się zainfekowani – ich przyjście zwiastowane było przez gromkie okrzyki, że z ziemi powstają martwi i nadchodzi Dzień Sądu – zachowywali się dokładnie tak, jak przez lata pokazywano nam w horrorach. Zaskoczeniem było jedynie to, że wszystko dzieje się naprawdę.

Epidemia wybuchła bez żadnego ostrzeżenia. Jednego dnia wszystko było jak zawsze, a następnego ludzie, którzy powinni być martwi, podnosili się z ziemi i rzucali na wszystko, co pojawiło się w ich zasięgu. Był to powód do zmartwień dla każdego, kto miał z tym styczność, oczywiście poza zainfekowanymi, którzy już dawno przestali się takimi rzeczami przejmować. Co więc robimy teraz, w erze oświecenia, po dwudziestu latach od Powstania? Mamy idiotów, którzy tykają zombie patykami – stwierdzeniem tym zataczamy pełne koło, powracając do mojego brata i powodów, za których przyczyną prawdopodobnie nie będziemy żyć długo i szczęśliwie.

– Hej, George, spójrz na to! – krzyknął, po raz kolejny trącając pierś zombie kijem do hokeja.

Zombie wydał z siebie niski pomruk i nieudolnie zamachnął się na mojego brata. Najwyraźniej od dłuższego czasu był w stanie całkowitej amplifikacji wirusowej i nie miał już wystarczająco dużo siły ani sprytu, żeby wytrącić Shaunowi kij z rąk. To jedno muszę przyznać – mój braciszek pamięta, żeby nigdy nie zaczepiać tych, którzy są albo zbyt świeży, albo znajdują się za blisko.

– Bawimy się w łapki!

– Przestań już zrażać do siebie lokalną społeczność i wsiadaj na motor – powiedziałam, rzucając mu gniewne spojrzenie zza ciemnych okularów. Jego obecny kumpel może i jest już na tyle chory, by za chwilę doznać powtórnej, tym razem ostatecznej śmierci, ale to wcale nie oznacza, że w pobliżu nie kręci się zgraja zdrowszych zombie. Santa Cruz to ich terytorium. Przyjeżdża tu tylko ten, kto ma myśli samobójcze albo jest głupcem; ewentualnie jedno i drugie. Bywają chwile, kiedy nawet ja zastanawiam się, co kieruje Shaunem.

– Nie mam czasu na pogaduchy! Właśnie próbuję zaprzyjaźnić się z miejscowymi!

– Shaunie Phillipie Masonie, *natychmiast* wracaj na motor albo, Bóg mi świadkiem, odjadę bez ciebie i zostaniesz tu sam.

Shaun rozejrzał się dokoła, w jego oczach błysnęło nagle zainteresowanie, kiedy wciskał czubek swojego kija hokejowego w pierś zombie, trzymając go w bezpiecznej odległości.

– Naprawdę? Zrobiłabyś to dla mnie? Bo „siostra zostawiła mnie bez żadnego pojazdu na środku terenu opanowanego przez zombie” brzmi jak początek świetnego artykułu.

– Chyba nekrolog – odburknęłam. – Wracaj na ten przeklęty motor!

– Za minutkę! – odpowiedział, zanosząc się śmiechem, a potem odwrócił się plecami do swojego jęczącego przyjaciela.

Z perspektywy czasu stwierdzam, że właśnie wtedy wszystko zaczęło się walić.

Tamta zgraja musiała nas śledzić, odkąd tylko przekroczyliśmy granicę miasta, a krążąc po całym hrabstwie, zwiększała swe szeregi. Im większa staje się grupa zombie, tym jest sprytniejsza i bardziej niebezpieczna. Grupa złożona z czterech – albo mniejsza – stanowi minimalne zagrożenie, o ile nie dasz się zapędzić w róg, ale stado liczące ponad dwudziestu zombie może przekroczyć praktycznie każdą barierę, którą próbują wznieść niezainfekowani. Jeśli zbierze się wystarczająco dużo nieumarłych, zaczynają stosować techniki polowania w stadzie. Opracowują prawdziwą taktykę, zupełnie jakby władający nimi wirus zyskiwał rozum, gdy w pobliżu zbierze się odpowiednio duża liczba jego żywicieli. To piekielnie straszne, niczym najgorszy koszmar każdego, kto regularnie pojawia się na obszarach pełnych zombie – zostać otoczonym przez sporą grupę, która lepiej zna okolicę.

Ci zombie orientowali się w terenie lepiej niż my, a nawet najbardziej wyniszczone przez głód czy wirusa stado wie, jak urządzić zasadzkę. Ze wszystkich stron dobiegało echo niskich jęków, a potem zobaczyliśmy zmierzających chwiejnie w naszym kierunku zombie, z których najdłużej zainfekowani powoli się zataczali, a inni niemal biegli. To oni prowadzili całe stado, odcinając nam jedną z trzech pozostałych dróg ucieczki, zanim w ogóle byliśmy w stanie zrobić cokolwiek, zbyt zajęci gapieniem się na nich. Spojrzałam na nieumarłych i zadrzałam.

Świeżo zarażeni – naprawdę świeżo – nadal wyglądają jak ludzie, którymi do niedawna jeszcze byli. Ich twarze wyrażają emocje, a lekko koślawe ruchy mogłyby zdradzać co najwyżej kiepsko przespaną noc. Ciężko jest zabić coś, co wciąż wygląda jak człowiek, a najgorsze jest to, że te bydlaki są naprawdę szybkie. Groźniejsze niż świeży zombie jest tylko stado świeżych zombie, a ja naliczyłam co najmniej osiemnastu, zanim zorientowałam się, że to już nie ma znaczenia, i dałam sobie spokój.

Złapałam swój kask i włożyłam, nie zapinając paska. Gdyby motor się przewrócił, śmierć z powodu odniesionych obrażeń głowy byłaby

całkiem niezłą opcją. Ożyłabym, ale przynajmniej nie zdawałabym sobie z tego sprawy.

– Shaun!

Shaun gwałtownie się obrócił i spojrział na nadchodzących zombie.

– Wow.

Na nieszczęście dla Shauna, gdy jego nowy kumpel znalazł towarzystwo, przestał być tylko przygłupim samotnikiem, a stał się częścią myślącego stada. Dlatego chwycił kij i wyczuwając, że uwaga Shauna skupiła się na czymś innym, wyszarpnął go z rąk mojego brata. Impet rzucił go do przodu, a wtedy zombie z zaskakującą siłą uczeplił się swoimi uschniętymi palcami jego rozpinanego swetra. Zasyczał. Wrzasnęłam, a moją głowę zaczęły wypełniać wizje przyszłości, którą miałam spędzić jako jedynaczka.

– *Shaun!* – Wystarczy jedno ugryzienie, by zrobiło się nieciekawie. Nie ma zbyt wielu rzeczy gorszych od bycia otoczonym przez grupę zombie w centrum Santa Cruz. Jedną z nich jest jednak utrata Shauna.

Owszem, mój brat zdołał namówić mnie na motocyklową wycieczkę na terytorium zombie, ale to wcale nie oznacza, że jestem idiotką. Miałam na sobie pełny strój ochronny, w tym skórzaną kurtkę z metalowymi ochraniaczami na ramionach i łokciach, kamizelkę kuloodporną, spodnie na motor z ochraniaczami na biodrach i kolanach, a oprócz tego specjalne, sięgające do połowy łydki buty. Ciężko w tym jak cholera, ale mam to gdzieś, bo na polu walki cel ataku stanowić może tylko moje gardło.

Z kolei Shaun jest kretyńcem i jego strój ochronny, w którym wybrał się na wabienie zombie, składał się ze swetra, kamizelki kuloodpornej i bojówek. Nie założył nawet gogli – mówi, że „psują efekt”. Nieosłonięte błony śluzowe mogą sprawić znacznie więcej kłopotu niż nieodpowiedni *image*, ale i tak musiałam szantażem wbić go w kamizelkę. O goglach nie było mowy.

Nieważne, jak bardzo wydaje mi się to idiotyczne, sweter w terenie ma jedną zaletę – wełnę da się przedrzeć. Shaunowi udało się wyrwać z łap zombie i odwrócił się, by pobiec w kierunku motoru z prędkością,

którą jest jedyną naprawdę skuteczną bronią, jaką dysponujemy w starciu z zainfekowanymi. Nawet świeży zombie na krótkim dystansie nie jest w stanie dogonić niezarażonego człowieka. Jesteśmy szybcy i mamy kule. Wszystko inne działa w tej walce na ich korzyść.

– Cholera, George, mamy towarzystwo! – W jego głosie dało się słyszeć perwersyjną wręcz mieszankę przerażenia i radości. – Spójrz na nich!

– *Widzę, a teraz ruszaj!*

Zwolniłam nóżkę, gdy tylko Shaun przełożył nogę przez siedzenie za moimi plecami i poczułam jego rękę w talii. Motor ruszył, koła zaczęły podskakiwać i trząść się na popękanej ziemi, kiedy prowadziłam nas po łagodnym skręcie. Musieliśmy się stamtąd wydostać, bo inaczej za cholere nie pomogłyby nam nawet wszystkie ochraniacze świata. Gdyby zombie nas dogonili, ja mogłabym przeżyć, ale mój braciszek zostałby wciągnięty w tłum. Dodałam gazu, błagając Boga, żeby poświęcił chwilę na uratowanie naszej cierpiącej na skłonności samobójcze dwójki.

Wjechaliśmy na ostatnią przejezdną drogę z prędkością trzydziestu kilometrów na godzinę, ciągle nabierając tempa. Z krzykiem na ustach Shaun objął mnie w talii jedną ręką, a drugą wyciągnął w kierunku zombie, machając do nich i wysyłając im pocałunki. Gdyby wkurzenie bandy zombie w ogóle było możliwe, Shaunowi właśnie by się to udało. Oni jednak dalej tylko jęczeli, powłócząc nogami, z ramionami wyciągniętymi w oczekiwaniu na świeże mięso.

Przez lata wystawiona na pastwę złych warunków pogodowych i pozbawiona opieki droga pełna była dziur. Z całych sił próbowałam utrzymać równowagę, wjeżdżając na kolejne wyboje.

– *Trzymaj się, idioto!*

– Przecież się trzymam! – krzyknął Shaun, szczęśliwy jak nigdy, i kompletnie nie zważając na to, że w towarzystwie zombie ludzie niestrzymający się odpowiednich procedur bezpieczeństwa – a więc przede wszystkim bezwzględnego zakazu zatrzymywania się w ich pobliżu – bardzo często kończą jako wzmianka w nekrologach.

– Obiema rękami! – Jęki docierały do nas tylko z trzech stron, ale to niekoniecznie musiało oznaczać coś dobrego: tak duża grupa z pewnością była wystarczająco inteligentna, żeby przygotować zasadzkę. Być może znajdowałam się właśnie w drodze do miejsca, gdzie jest ich najwięcej. Mogliby zacząć wydawać dźwięki dopiero na koniec, kiedy będziemy już praktycznie wśród nich. Mając obiad na wyciągnięcie ręki, żaden zombie nie powstrzyma się przed porządnym jęknięciem. Ryk silnika nie był w stanie ich zagłuszyć, a to oznaczało, że byli zbyt liczni i zbyt blisko. Przy odrobinie szczęścia mieliśmy jeszcze szansę na ucieczkę.

Oczywiście, gdybyśmy wcześniej mieli odrobinę szczęścia, armia zombie nie ścigałaby nas właśnie przez objęty kwarantanną teren, który kiedyś był centrum Santa Cruz. Znajdowalibyśmy się w bezpieczniejszym miejscu, jak atol Bikini tuż przed testem bomby jądrowej. Kiedy już zdecydujesz się ignorować znak ostrzegawczy i napis „Uwaga! Infekcja!”, jesteś zdany wyłącznie na siebie.

Shaun z ociąganiem objął mnie drugą ręką, złączył dłonie na środku mojego brzucha i zawołał:

– Maruda! – wygodniej się przy tym rozsiadając.

Prychnęłam i dodałam znowu gazu, kierując się na pobliskie wzgórze. Kiedy gonią cię zombie, wzgórze jest albo twoim najlepszym przyjacielem, albo miejscem pochówku. Wzniesienie terenu je spowalnia, co działa na twoją korzyść, o ile na szczycie się nie okaże, że jesteś otoczony ze wszystkich stron i nie masz gdzie uciekać.

Idiota czy nie, Shaun zna zasady dotyczące zombie i wzgórz. Nie jest aż tak głupi, jakiego udaje, i wie znacznie lepiej ode mnie, jak przeżyć spotkanie z martwymi. Ścisnął mnie mocniej i po raz pierwszy usłyszałam w jego głosie szczerzy niepokój, kiedy zawołał: – George? Co ty wyprawiasz?

– Trzymaj. Się – powiedziałam. Po chwili jechaliśmy już pod górkę, płosząc kolejnych zombie, którzy chwiejnie wychodzili ze swoich kryjówek za pojemnikami na śmieci i między domkami przy plaży, niegdyś eleganckimi, a teraz nieuchronnie zbliżającymi się do ruiny.

Po Powstaniu udało się odzyskać większość Kalifornii, ale nie Santa Cruz. Geograficzna izolacja, która kiedyś sprawiała, że miasto było pożądanym miejscem na spędzenie wakacji, w chwili rozprzestrzenienia się wirusa stała się jego przekleństwem. Kellis-Amberlee jest być może niezwykły podczas interakcji z ciałem człowieka, ale przynajmniej w jednej kwestii zachowuje się dokładnie tak samo jak każda inna znana nam choroba zakaźna – gdy trafi do autobusu szkolnego, rozprzestrzenia się w zastraszającym tempie. Uniwersytet Kalifornijski w Santa Cruz był idealnym miejscem na wybuch epidemii, a kiedy dziarscy studenci stali się powłóczącymi nogami zombie, całe miasto oblepiono ogłoszeniami o ewakuacji.

– Georgia, to wzgórze! – zawołał bardziej natarczywie, kiedy miejscowi zaczęli podążać za motorem. Użył mojego prawdziwego imienia: po tym poznałam, że naprawdę się bał. Shaun nazywa mnie Georgią tylko wtedy, kiedy jest nieszcześliwy.

– Wiem o tym. – Schyliłam się o kilka cennych stopni, żeby zmniejszyć opór powietrza. Shaun odruchowo zrobił to samo, garbiąc się za moimi plecami.

– Naprawdę *wjeżdżamy* na to wzgórze? – upewnił się. Nie miał szans usłyszeć mojej odpowiedzi, zagłuszanej przez hałas silnika i wiatru, ale taki właśnie jest mój brat: zawsze skory do krytykowania, kiedy wie, że nikt mu nie odpowie.

– Zastanawiałeś się kiedyś, jak czuli się bracia Wright? – zapytałam. Szczyt wzgórza pojawił się w zasięgu wzroku. Sądząc po tym, jak ulica po drugiej stronie nagle zniknęła, było to całkiem strome zbocze. Jęki docierały teraz ze wszystkich stron, tak zniekształcone przez wiatr, że właściwie nie mogłam stwierdzić, w co zaraz wjedziemy. Może to była pułapka, może nie. W każdym razie było już za późno, żeby znaleźć inną drogę. To było nasze jedyne wyjście i choć raz to Shaun był zlany potem.

– *Georgia!*

– Trzymaj się!

Dziesięć metrów. Zombie byli coraz bliżej, zdeterminowani, by pochwycić coś, co dla niektórych z nich może się okazać pierwszym

świeżym mięskiem od jakichś dziesięciu lat. Sądząc po wyglądzie większości, problem zombie w Santa Cruz szybciej się rozkładał niż odbudowywał. Oczywiście była masa świeżych – zawsze są jacyś nowi, bo zawsze znajdują się idioci, którzy zawędrują na teren objęty kwarantanną, celowo czy przez przypadek, a przeciętny autostopowicz nie może liczyć na szczęście w starciu z zombie – ale odzyskamy miasto w ciągu następnych trzech pokoleń. Po prostu jeszcze nie dzisiaj.

Pięć metrów.

Zombie polują, podążając za dźwiękiem innych polujących zombie, więc nasi przyjaciele z dołu, słysząc zamieszanie, zaczęli się wspinać. Miałam nadzieję, że niżej drogę odcina nam tak wielu zombie, że zaledwie garstka zostanie, by obstawić drugą stronę wzgórza. W końcu nie mieliśmy dotrzeć tak daleko – jedyne, co wciąż ratowało nam życie, to motor, którego nie mieli zombie.

Na szczycie kątem oka zauważyłam czekający na nas tłum. Stali nie dalej niż trzy metry, więc jakieś piętnaście powinno nam wystarczyć, by uciec.

Start.

To wręcz niesamowite, czego odpowiednio zmotywowany człowiek potrafi użyć jako rampy. Jakiś zniszczony płot zagradzał połowę przejazdu, zwisając nad drogą, a ja uderzyłam w niego z prędkością około osiemdziesięciu kilometrów na godzinę. Kierownica motoru zatrzęsa się pod moimi rękoma jak rogi mechanicznego byka, a amortyzatory trzymały się niewiele lepiej. Nie miałam nawet czasu, żeby sprawdzić drogę przed nami, bo zombie zaczęli jęczeć, gdy tylko pojawiliśmy się w zasięgu ich wzroku. Całkiem nieźle zablokowali nam wyjście, kiedy Shaun bawił się ze swoim nowym kumplem, a chociaż nie grzeszyli inteligencją, znali okolicę znacznie lepiej niż my. Wciąż jednak mieliśmy drobną przewagę – zombie niekoniecznie są w stanie przewidzieć samobójcze akcje. A jeśli jest jakieś lepsze określenie wjazdu na wzgórze z prędkością osiemdziesięciu kilometrów na godzinę z zamiarem wystartowania w powietrze, kiedy skończy się już droga – chyba nie chcę go słyszeć.

Przednie koło gładko się wzniosło, a w jego ślady poszło tylne, drgnęło lekko, i pozornie bez wysiłku wylecieliśmy w powietrze, choć w rzeczywistości baliśmy się jak diabli. Ja wrzeszczałam, a Shaun wydawał z siebie okrzyki zrozumienia i zadowolenia. I wtedy wszystko zależało już tylko od sił grawitacji, które nigdy nie były szczególnie łaskawe wobec nieuleczalnych idiotów. Przez zapierający dech w piersiach moment płynęliśmy w powietrzu, wciąż sunąc do przodu. Przynajmniej ja byłam całkiem pewna, że upadek nas zabije.

Wszechświat wziął pod uwagę prawa fizyki oraz godziny, które spędziłam na składaniu i naprawianiu mojego motoru, i choć raz zlitował się nad nami. Poszybowaliśmy ponad zombie i wylądowaliśmy na jednym z niewielu fragmentów gładkiej nawierzchni, choć szarpnięcie niemal wyrwało mi z rąk kierownicę. W chwili uderzenia o ziemię przednie koło omal nie poderwało się do góry, więc krzyknęłam, jednocześnie przerażona i wściekła na Shauna, że przez niego się w to wpakowaliśmy. Kierownica szarpnęła mocniej, prawie wyrwijąc mi ramiona ze stawów, ale udało mi się dodać gazu i zmusić koło do powrotu na ziemię. Następnego dnia rano przyszło mi za to zapłacić i nie chodzi tylko o koszty naprawy motoru.

Nie miało to jednak znaczenia – wylądowaliśmy, odzyskaliśmy równowagę, a przed sobą nie słyszeliśmy żadnych jęków. Dodałam gazu i pośpieszyliśmy na obrzeża miasta, a za moimi plecami Shaun wydawał z siebie okrzyki radości godne wariata ze skłonnościami samobójczymi.

– Dupek – wymamrotałam i pojechałam dalej.



Newsy to newsy, a kreatywność to kreatywność. Kiedy połączysz jedno z drugim, dostaniesz coś, co nie jest już newsem. Hokus-pokus, właśnie stworzyłeś opinię.

Nie zrozumcie mnie źle – opinie mają prawdziwą moc. Różne opinie na ten sam temat to najpiękniejsze, co możecie zyskać

w wolnych mediach, bo powinny sprawić, że ludzie zaczną się zastanawiać. Jednak większość wcale tego nie chce. Nie mają ochoty przyznać, że ich aktualny ulubieniec nie jest do końca obiektywny i może mieć jakieś ukryte motywy. Niektórzy ludzie uważają, że Kellis-Amberlee to spisek Żydów, gejų, Bliskiego Wschodu, a nawet odłamu Narodów Aryjskich, który pragnie czystości rasowej i w tym celu zamierza powybić całą resztę. Odpowiedzialny za stworzenie i uwolnienie wirusa człowiek zamaskował wszystko makiawelicznymi rozmiarami spiskiem, a jego zwolennicy siedzą teraz spokojnie i czekają na koniec świata, zaopatrzeni w szczepionki.

Wybaczone brzydkie słowa, ale już czuję smród. Spisek? Przykrywka? Z pewnością są grupy ludzi wystarczająco zbikowanych, by myśleć, że zabicie trzydziestu pięciu procent ludności na całym świecie w ciągu jednego lata to dobry pomysł – i pamiętajcie, to dość ostrożne wyliczenia, biorąc pod uwagę to, że nie mamy dokładnych danych na temat liczby zmarłych w Afryce, Azji i części terytorium Ameryki Południowej – ale żaden z nich nie oszalał jeszcze na tyle, by wykorzystał do tego pożywiające się przypadkowymi ludźmi ex-babcie. Zombie mają gdzieś spisek. Spiski są dla żywych.

Ten tekst jest opinią. Róbcie z nią, co wam się żywnie podobają. Tylko trzymajcie swoje opinie z dala od moich newsów.

– z *Drastycznych zdjęć*,
bloga Georgii Mason, 3 września 2039



Zombie są całkiem nieszkodliwi, o ile traktuje się je z szacunkiem. Niektórzy uważają, że powinniśmy się nad nimi litować, współczuć im, ale, moim zdaniem, ci ludzie mają spore szanse, by *sami* stać się zombie, jeśli wicie, co mam na myśli. Nie

powinno wam być przykro z powodu zombiaka. Jemu nie będzie przykro, kiedy zacznie wgryzać się w wasze głowy. Sorry, stary, ale nawet moja siostra nie jest ze mną tak blisko.

Jeśli chcecie być blisko zombie, trzymajcie się z dala od ich zębów, nie pozwólcie im się zadrapać, obcinajcie włosy na krótko i nie noście luźnych ubrań. To naprawdę takie proste. Komplikowanie tych zasad byłoby nudne, a chyba nikt tego nie chce. Mamy tu przecież praktycznie chodzące trupy, ludzie.

Nie pozbawiajcie nas całej zabawy.

– z *Niech żyje król*,
błoga Shauna Masona, 2 stycznia 2039